

Barbara Kasprzycka: „Cudu gospodarczego nie będzie” – tak można podsumować raport Business Center Club, którego jest pan ekspertem, na temat pierwszego roku rządu PO-PSL. Kiedy 10 miesięcy temu zdecydował się pan na stanowisko wiceministra finansów wierzył pan, że cud jest w naszym zasięgu?

Prof. Stanisław Gomułka: Miałem przekonanie, że odpowiednie reformy mogą stworzyć warunki do tego, żeby wzrost gospodarczy w Polsce przyśpieszył. Ale na pewno nie myślałem o perspektywie roku czy dwóch, lecz co najmniej dwóch kadencji parlamentarnych. Obecna kadencja miała być kadencją reform, które mogłyby w przyszłości doprowadzić do owego „cudu” w postaci 6-7 proc. wzrostu gospodarczego rocznie.

Odszedł pan, bo przestał wierzyć w cuda?

- Odszedłem, bo zostałem zaproszony do tego rządu głównie po to, by pilotować reformę finansów publicznych. Miałem być pełnomocnikiem rządu w tej materii. Pełnomocnikiem nie zostałem i do dziś nie wiem, czy to minister finansów się rozmyślił, czy też nie zgodził się premier Tusk. Ale to nie znaczy, że przez te sto dni w resorcie nic nie robiłem. Uczestniczyłem razem z ministrem Rostowskim w przygotowywaniu nowych propozycji rządu dotyczących zakładów opieki zdrowotnej. Pilotowałem prace dotyczące nowej ustawy o finansach publicznych. Byłem głównym współautorem propozycji nowego programu konwergencji, który rząd Tuska przyjął i w odpowiedzi na tę decyzję rządu Komisja Europejska wycofała wobec Polski procedurę nadmiernego deficytu. To otworzyło nam drogę do starań o wejście do strefy euro.

A co się nie udało?

- Już na wiosnę przekonałem się, że w kwestiach takich jak reforma emerytalna Ministerstwo Finansów ma mocno ograniczone możliwości działania. Opór polityczny był bardzo silny. W szczególności szybkie podniesienie wieku emerytalnego kobiet do 65 lat, które miało poparcie chociażby rzecznika praw obywatelskich, nie znalazło się w programie rządowym. Podobnie nie było entuzjazmu dla ograniczenia przywilejów emerytalnych służb mundurowych i pracowników wymiaru sprawiedliwości, znaczącej reformy KRUS, bardziej elastycznych reguł indeksacji rent i emerytur, przeglądu wszystkich wydatków rentowych, reformy Karty Nauczyciela i zmniejszenia zatrudnienia w szkolnictwie. Zrozumiałem, że skoro koalicja nie ma dostatecznych sił do odrzucenia prezydenckiego weta i skoro koalicjant – PSL – wykazuje mocno wstrzemięźliwe poparcie dla reformy finansów publicznych, to nie mam możliwości działania. A chodziło o ograniczenie wydatków sztywnych budżetu i zasadniczą reformę podatkową.

No właśnie, podatki. Platforma obiecywała ich obniżenie. Nic takiego się nie stało.

- Zarówno Zbigniew Chlebowski, jak i Donald Tusk przed wyborami zapowiadali jednocześnie zmniejszenie obciążeń podatkowych i deficytu budżetowego. To budziło mój entuzjazm. W realizacji okazało się jednak niewykonalne, bo wymagałoby albo niezwykłego tempa rozwoju gospodarki, albo radykalnego obcięcia wydatków budżetowych. Pierwsze nie było możliwe, a na drugie nie było zgody.

Kto się nie zgadzał?

- Po części chodziło o opór PSL, ale w dużym stopniu zrezygnował z tych kroków sam premier Tusk. Spodziewał się bowiem, że obcinanie wydatków oznaczać musi konfrontację z prezydentem i opozycją. Ku mojemu zdziwieniu opór dotyczył również prywatyzacji, której przyspieszenie obiecywano. Ze strony Ministra Skarbu Aleksandra Grada widziałem niezwykle opieszalność w tym względzie. Praktycznie więc w mijającym roku nie zaczęła się żadna z najważniejszych zapowiadanych prywatyzacji: ani PKO BP, ani PZU, ani KGHM czy Orlenu. Najwyraźniej w obawie, że pod obstrzałem opozycji koszty polityczne mogły by się okazać zbyt wysokie.

Ale kosztami obarczona jest też przegłosowana kilka dni temu ustawa o emeryturach pomostowych

- To prawda, w tym przypadku rząd się nie ugiął. Chyba dlatego, że wcześniej kolejne rządy wysuwały już tego typu propozycje ograniczenia przywilejów emerytalnych. Premier Tusk mógł więc liczyć, że koszty polityczne będą znośne. Zresztą dziś chyba większość Polaków zdaje już sobie sprawę, że utrzymanie tych przywilejów odbyłoby się ich kosztem. Drugą ryzykowną, ale pozytywną inicjatywą jest pakiet ustaw o reformie systemu ochrony zdrowia. To są dwa przypadki, w których rząd Tuska wykazał się odwagą, bo należało przypuszczać, że oba mogą prowokować opór społeczny. Ale to wciąż za mało żeby mówić o poważnych reformach, pozwalających na szybki marsz do euro czy na obniżenie podatków. Zyski finansowe z tych dwóch przedsięwzięć są bowiem rozłożone w czasie, w dwóch latach najbliższych niewielkie.

Sytuacji nie ułatwia kryzys finansowy.

- Oczywiście, trudno było przypuszczać rok temu, że przyjdzie tak szybko i będzie w skali światowej tak głęboki. Recesja w Europie i silne spowolnienie gospodarcze w Polsce powodują, że skonstruowanie sensownych budżetów na rok 2009 i 2010 będzie niezwykle trudne. To tylko potwierdza, że trzeba było zawczasu mocniej ograniczać wydatki. Tymczasem mamy wciąż postulowane szczytne cele – jak szybkie wejście do strefy euro czy obniżenie podatków w relacji do PKB – ale bez koncepcji, jak pokryć ich koszt. Powstaje więc ryzyko, że rząd PO-PSL będzie musiał zrezygnować z realizacji tych celów. Zresztą projekt budżetu na rok 2009 już teraz, jeszcze przed spodziewaną korektą, zakłada wzrost relacji sumy wszystkich podatków do PKB.

Jest pan dziś rozczarowany tym rządem?

- Jeżeli jestem rozczarowany, to nie od dziś. Pół roku temu, odchodząc z Ministerstwa Finansów doszedłem do wniosku, że rząd realnie rzecz biorąc stawia sobie bardzo ograniczone cele w tej kadencji. W gruncie rzeczy chodzi mu o przetrwanie do następnych wyborów parlamentarnych. Przetrwanie w możliwie dobrej kondycji: nie tracąc zbyt dużo, a może nawet wiele zyskując. Na tym, przypuszczam, polega strategia polityczna premiera Tuska. I być może jest to znakomita strategia, taka, która rzeczywiście za trzy lata przyniesie Platformie Obywatelskiej miażdżące zwycięstwo, które z kolei pozwoli później przeprowadzić wszystkie czy niemal wszystkie zamierzone reformy. W takim przypadku będę pierwszym, który Donaldowi Tuskowi pogratuluje. Bo rzeczywiście w obecnej sytuacji politycznej jest niezwykle trudno wprowadzać znaczące reformy. Premier wybrał więc

strategię „kochajmy się” i przeprowadzanie stosunkowo niewielkich korekt. Byłaby to w zasadzie, przynajmniej w sferze gospodarczej, kontynuacja strategii poprzednich kilku rządów. I sądząc po wynikach poparcia w sondażach ta strategia jak narazie przynosi dobre rezultaty.

- Właśnie. Pytanie tylko, jak długo; czy wystarczy tego poparcia na kolejne trzy lata, do wyborów. Czy Polskę stać na następne trzy lata polityki „przeczekania”?

- Nie jestem politykiem, więc nie muszę np. przekonywać polskiego społeczeństwa do takiej czy innej reformy. Premier musi, a w każdym razie powinien. Miał do wyboru: dokonywać takie niewielkie reformy, które nie wzbudzą dużego społecznego oporu, albo inicjować gorącą polityczną debatę wokół silniejszych działań i tym samym ryzykować np. wcześniejsze wybory. Wybrał strategię pierwszą, strategię ograniczonych reform połączonych z popularnymi i niezbędnymi działaniami, chociażby w polityce zagranicznej, wojskowej czy karno-policyjnej, a także prezentacyjno-informacyjnej, ze sposobem rozmawiania ze społeczeństwem. To zwiększa szanse PO na pomyślny wynik przyszłych wyborów i – zakładam – szansę na poważniejsze reformy w przyszłości. To oczywiście jest w jakimś sensie strata czasu, ale żyjemy w demokracji. Elektorat wybrał określony Sejm i określonego prezydenta. To są obiektywne ograniczenia tego rządu. Polska straciła ostatnie trzysta lat rozwoju cywilizacyjnego. Dodatkowe trzy czy pięć lat wolniejszego doganiania Europy Zachodniej nie będą dużym historycznym grzechem.

Jak rząd zdał test największego od dziesięcioleci kryzysu finansowego?

- Wydaje się, że zbyt długo opierał się w działaniu na przekonaniu, że tepotężne światowe zawirowania dotrą do Polski tylko w niewielkim stopniu. Test jest dopiero przed ministrem Rostowskim i premierem Tuskiem: czy i jak zmienią założenia przyszłorocznego budżetu, bo dotychczasowe propozycje stały się zupełnie nierealistyczne. Dochody budżetu z pewnością będą dużo niższe od zakładanych. Ten brak realizmu w końcu wyjdzie na wierzch.

Rząd mógł wobec załamania rynku finansowego zrobić coś więcej?

- Nie tylko rząd, ale także nadzór bankowy i Narodowy Bank Polski wciąż reagują zbyt wolno i w oparciu o nazbyt optymistyczne oceny. Wciąż dominuje przekonanie, że Polska w sposób istotny odbiega od rynków zachodnich. Rzeczywiście, nasz system bankowy nie jest zarażony toksycznymi aktywami, ale skoro spowolnienie gospodarcze w Europie Zachodniej jest faktem i wiele wskazuje, że skończy się recesją, to silne spowolnienie gospodarcze w Polsce staje się realną perspektywą. Nasz system bankowy sam zareagował silnymi restrykcjami w przyznawaniu nowych kredytów przedsiębiorcom i gospodarstwu domowemu, nawet innym bankom, a także niekiedy podwyższeniem stóp procentowych od kredytów już wcześniej przyznanych. Instrukcje w tych działaniach napłynęły zapewne od central zlokalizowanych w krajach objętych głębokim kryzysem. W takiej sytuacji działania ze strony instytucji państwowych w Polsce, w tym nadzoru finansowego, powinny dla równowagi iść w drugą stronę, nie pogłębiać jeszcze tych działań restrykcyjnych. Oczekiwałbym chociażby udzielenia przez rząd gwarancji wzajemnych kredytów wszystkim bankom i zagwarantowania wszystkich depozytów bankowych na najbliższy rok. Tymczasem rząd nie zrobił wiele dla odbudowy wzajemnego zaufania podmiotów na rynku, a nadzór bankowy działa tak, jakbyśmy mieli do czynienia z silną ekspansją kredytową.

Więcej w tym odpowiedzialności ministra finansów czy premiera?

- W tej chwili premier jest także ministrem finansów. Sytuacja w rządzie jest zupełnie inna niż była w relacjach Leszka Balcerowicza z premierem Mazowieckim czy premierem Buzkiem, czy nawet Jerzego Osiatyńskiego z premier Suchocką. Uczestniczyłem w pracach budżetowych tych gabinetów i widziałem, że rola ministra finansów była tam suwerenna i inicjująca w dużo większym stopniu niż jest teraz. Premier z reguły akceptował rozwiązania ministra, pomagał mu aktywnie w ich realizacji na forum rządu i parlamentu. Z drugiej strony w tym rządzie minister finansów jest jedynym ekonomistą wysokiej klasy. Mam nadzieję., że nadal cieszy się dużym zaufaniem premiera.

I gdyby tylko mógł, obniżyłby podatki, zniósł podatek Belki itd.?

- Zapewne to jego rzeczywisty cel, ale to nie jest cel na najbliższy rok czy dwa lata. Z obietnic przedwyborczych rozliczałbym po skończonej kadencji. Są rzeczy, które można wprowadzić dopiero przy wzroście gospodarczym 6-7 procent, tymczasem w przyszłym roku spodziewamy się 2-3 proc. Nie oczekujemy cudów. Co więcej, jeśli rzeczywiście będziemy się trzymać roku 2012 jako daty wejścia do strefy euro to pojawi się perspektywa podniesienia podatków w roku 2010, bo euro wymaga od nas utrzymania niskiego deficytu. Dylemat będzie dla rządu Tuska coraz trudniejszy: albo politycznie kosztowne reformy, albo podniesienie podatków. Albo – co byłoby dużą prestiżową porażką – wycofanie się z projektu wejścia do strefy euro w najbliższych latach.

Czy bankructwo stoczni gdyńskiej i szczecińskiej jest porażką tego rządu?

- Jeżeli jest porażką to raczej niewielką. Mówimy o zakładach, które od wielu lat są w bardzo złej kondycji. W sporze z Komisją Europejską płacimy koszt tego, że z tych stoczni pochodzą ważni politycy, na czele z Lechem Wałęsą, który sam nalegał na dofinansowanie Stoczni Gdańskiej. I Stocznia je dostawała od kolejnych rządów, łącznie z rządem SLD-PSL, kiedy ministrem finansów był Grzegorz Kołodko. To nie jest więc porażka obecnego gabinetu, lecz również większości poprzednich. Gospodarczo jednak ma ona znaczenie marginalne. Dużo poważniejszym problemem jest bardzo opieszala prywatyzacja czy brak pomysłu rządu na strategię wobec kryzysu energetycznego, który nam się w najbliższych latach szykuje.

A wydawało się, że bezpieczeństwo energetyczne będzie jednym z priorytetów.

- Na razie nie jest, a skutki ewentualnego kryzysu mogą być paraliżujące. I nie chodzi tylko o problemy z rosyjskimi dostawami gazu, ale o wewnętrzne braki infrastruktury, brak nowych elektrowni, przestarzałe linie transmisyjne. Nic się w tej sprawie nie dzieje, minister gospodarki nie daje tej kwestii należytej rangi.

Skoro o Waldemarze Pawlaku mowa: nie ma już szans na obiecaną przez PO reformę ubezpieczeń rolniczych?

- Nie można się jej spodziewać od koalicji z udziałem ludowców. To wiadomo od początku. Kiedyś w rozmowie z ministrem rolnictwa Markiem Sawickim wyraziłem nadzieję, że byłoby dobrze, gdyby osiągnąć w KRUS choćby 2-3 mld zł oszczędności. Tymczasem projekt który trafił do uzgodnień międzyresortowych spowoduje oszczędność ok. 200 mln zł. Trudno się

dziwić, że taki projekt nie satysfakcjonuje premiera. I nie wiadomo, co z tym fantem dalej zrobić.

Na Platformę głosowali w dużej części przedsiębiorcy, licząc na ułatwienie działalności. Przeliczyli się?

- Jest wiele głosów rozczarowania. Spore oczekiwania wiązano z komisją Janusza Palikota, ale zdaje się, że przy całej swojej aktywności nie jest on najlepszą osobą na to stanowisko. Prace komisji są chaotyczne, dotyczą bardzo wielu dość przypadkowo wybranych zagadnień, a wszystko na głowie jednego posła Palikota, który chyba nie ma wybitnych zdolności organizacyjnych. Swoją aktywnością medialną nie ułatwia też współpracy międzypartyjnej. Jeśli chodzi więc o ułatwienia dla przedsiębiorców to mają oni powody do rozczarowania. Ale też z wdzięcznością przyjmują każdą realną próbę ułatwienia im życia, każdy postęp czy inicjatywę podejmowaną z myślą o nich. I trzeba oddać, że takie nastawienie w rządzie Donalda Tuska znajdują.

Czyli mamy się cieszyć na razie tym, że w ogóle jest o czym dyskutować?

- Właśnie. Jest komisja Palikota, ale jest też pakiet Szejnfelda. To są realne płaszczyzny do rozmów i do pracy nad rozwiązaniami. Przyjdzie czas, że wypracowane rozwiązania wejdą w życie. Na razie minął dopiero rok.

Nie żałuje pan czasem, że nie pracuje już w tym rządzie?

- Nie, absolutnie. Wszystko, co się stało po kwietniu potwierdziło moją ówczesną diagnozę, że to będzie w zasadzie rząd przeczekania. Zrobiłem w nim co mogłem, jak na około 100 dni całkiem sporo.